Nr. 44. We Lwowie dnia 29. Października 1899. Rok 7.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Pamięci Chopina.

Szumiały mu nasze wierzby
i nasze topole
i ten ciężki kłos pszenicy,
co ozłaca rolę.

Szumiały mu cichą pieśnią
zielone dąbrowy
i te trzciny nad jeziorem
i ten bór sosnowy.

A on chodził wskróś tych szumów,
zasłuchany w dale,
i w przestworzu bezgranicznem
topił swoje żale.

I w topole się przemieniał,
w kłos pszenicy złoty,
a łanami szła pieśń cicha
łkającej tęsknoty.

Sosnowego boru szepty
płynęły mu z duszy,
tajemniczych pełne zwierzeń
w przedwieczornej głuszy.

Pajęczyny wiotkie przędze
otulają rżyska,
a w moczarach zmarła woda
opalami błyska.

Smętek idzie po przydrożach,
liście z drzewa strąca,
a źrenicę mu wypala
zorza konająca.

A tam dziki wiatr się zrywa,
z stodół zdziera strzechy —
boleść tylko i żałoba,
a nigdzie pociechy!

A tam pożar wszczął się krwawy,
łuną zlane nieba —
Hej! umrzemy z nędzy, z głodu,
Zabrakło nam chleba!

A tam czarny wóz się toczy,
wrony nad nim kraczą,
księża pieją miserere —
Hejże w tan z rozpaczą!

Rżnij muzyko! A ty, żydzie,
dolejże nam wódki!
Utopimy łzy i rozpacz,
tęsknoty i smutki!

Co nam świat ten! Co nam życie!
Snać sam Bóg nas rzucił!
Kiedyż-że to ranek szczęścia
nieszczęśliwym wrócił?!

Rżnij, muzyko! A my — dalej!
walczmy choćby z Bogiem,
który oko swe przymrużył
nad naszym rozłogiem!

Rżnij, muzyko! A ty, pieśni,
leć w przestwór daleki!
Świat przed tobą się ukorzy
i uklękną wieki!

Łkaj! rozpaczaj! grzmij i czoło
stawiaj zawierusze;
Ziemię polską mieścisz w sobie —
ach! i polską duszę!...

Jan Kasprowicz.

PORACHUNKI.

4) (Indywidualizm wybujały. — „Szkoła krakowska“.)

(Dokończenie.)

To też z chwilą, gdy »Kurjer Warszawski«, przez usta p. Władysława Rabskiego, z jednej strony sławi językiem barwnym potworności zmysłowe i wszeteczeństwa zagranicznych malarzy dekadentów, z drugiej zaś posyła całe swoje społeczeństwo do Krakowa, aby ono tam »pod pawiem«, skąpało członki swoje w prądzie ożywczym »Nowej sztuki«; z chwilą, gdy »Tygodnik Ilustrowany«, przez usta p. Jana Zakrzewskiego, wzywa społeczeństwo, aby ono wyrzekło się swojego ideału na rzecz ideału jednostki — milczeć już nie wolno.

Poeci z doby romantycznej, sławiący bohaterskie poświęcenie się jednostek i ofiarę z siebie na ołtarzu dobra ogólnego, to klucz żórawi, zwiastujący wiosnę nowego życia duchowego i społecznego. A jednak osobniki, inaczej czujące i myślące, szyły strzałami sarkazmu w ten klucz.

Poeci ze schyłku wieku XIX, domagający się ofiar z kultury i ołtarzów osobnych dla siebie, dla jednostek, to ćma szarańczy, niszcząca plony wieków i pokoleń, pracą znojną i krwawą społeczeństwa całego wydobyte z roli.

I gdyby wtenczas jakiś rzecznik »ofiary i poświęcenia się jednostki dla dobra „ogółu«, ugodzony strzałą sarkazmu, czy ironji w serce, był padł zakrwawiony na ziemię, to p. M., wziąwszy na się postać sędziego sprawiedliwego, mógłby zawołać groźnie: »Przeciwko komu, a zwłaszcza przeciw c z e m u, używacie broni morderczej?« Lecz dziś, gdy jednostka — wysubtelniona chorobliwie w swej nadczułości, rozwydrzona w swych pożądaniach zmysłowych, pragnąca jedynie rozszerzenia swych praw osobistych z pominięciem wszelkich względów społeczno obyczajowych, bezgranicznie zarozumiała, bo wierząca, iż »serce wszechświata kona w jej piersi« — żąda d l a s i e b i e ofiary z formy bytu społecznego, to jakiem prawem, jakiem czołem przewodnik, czy przodownik społeczeństwa śmie do ludzi, stojących na gruncie »obywatelskości«, zwrócić się z pytaniem: »Przeciwko c z e m u używacie broni morderczej?» Azażby sam nie wiedział?.. I chyba tak jest, gdyż inaczej, cóżby znaczył artykuł wstępny pt. »Szkoła krakowska«, napisany przez p. Jana Zakrzewskiego w tymże »Tygodniku Ilustrowanym.

Pan Jan Zakrzewski p r o t e s t u j e przeciw sądowi zbyt pochopnemu, tak zwanego dekadentyzmu, czy indywidualizmu. I słusznie. Bo czyż nie jest »zarozumiałością karygodną chcieć ś w i a t c a ł y mierzyć m i a r k ą swego własnego, często bardzo c i a s n e g o umysłu?«

Czytelnik domyśla się, że »świat cały«, to dusza każdego poszczególnego dekadenta, wyrażona w jednym sonecie lub dwóch nocturnach nastroowych, a »umysł ciasny« to krytyka nazywająca rzeczy po imieniu nie według d ź w i ę k u s ł ó w. A »miarka?« Posłuchajmy!

»Zrodził się u nas nowy prąd w literaturze (»S z k o ł a k r a k o w s k a«) i razem z nim powstało całe morze oburzenia, wielka burza odezw, polemik i protestów, skierowanych przeciw m ł o d e j p o e z j i p o l s k i e j, która, zdaniem wielu, czyni zamach stanowczy na wszelkie c n o t y o b y w a t e l s k i e w naszem społeczeństwie«.

Tak jest, powstało morze oburzenie, ale p. Jan Zakrzewski nie odpiera wcale zarzutu co do zamachów »Młodej Polski« na »cnoty obywatelskie« społeczeństwa naszego. W zamian za to żąda pobłażliwości wyczekującej, »gdyż M ł o d a P o l s k a nie wypowiedziała się jeszcze i obecnie niepodobna sądzić, czy ludzie, występujący w imię c z y s t e j s z t u k i, ulegną potężnemu wpływowi indywidualizmu Przybyszewskiego, czy też znajdą w sobie dość siły, aby przetrawić pierwiastki, które on wniósł ze sobą, i tworzyć samodzielnie?« Istotnie: o całej tej »czystej sztuce« należałoby milczeć zupełnie, i milczałoby się niezawodnie, gdyby nie to, iż ona się szerzy zaraźliwie, przez naśladownictwo, wśród małoletnich, ubogich duchem, wyczerpanych nerwowo, słabych pod względem charakteru.

»Jestem d e k a d e n t!... d a k a a d e n t!... d e k a a a!... Okadzajcie mnie!...«

Oto krzyk dzisiejszej piersi młodzieńczej, a redakcja »Tygodnika Ilustrowanego« przyklaskuje mu z całą... »powagą«.

Lecz nie koniec na tem. Pan Jan Zakrzewski twierdzi dalej, iż »ogół nasz, nie posiadając k u l t u r y e s t e t y c z n e j, nie umie o d c z u w a ć dzieł sztuki i rządzi się przy ocenie albo r e k l a m ą, albo osobistem w i d z i - m i - s i ę«.

Tak jest. Wyraz uwielbienia dla Reja, Kochanowskiego, Potockiego, Paska, Krasickiego, Naruszewicza, Brodzińskiego, Malczewskiego, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Ujejskiego, Asnyka, Chopina, Moniuszki, Matejki, Grotgera, Rodakowskiego, Gierymskiego, Kossaka — to brak k u l t u r y e s t e t y c z n e j, to skutki reklamy i lekkomyślnego widzi-mi-się! Nasza k u l t u r a e s t e t y c z n a wyrobi się dopiero, i to od chwili, gdy wskutek p r o t e s t u p. Jana Zakrzewskiego, krytyka »rozstanie się z dziwaczną, nieraz nawet komiczną manierą sądzenia dzieł li tylko ze stanowiska s p o ł e c z n o - o b y c z a j o w e g o. W tym kierunku bowiem krytyka nasza tyle już

sztuk karkołomnych wykonała, tak się ośmieszyła bezgraniczną swoją naiwnością, że straciła do reszty wiarę u czytelników«.

Istotnie był czas, iż krytyka świadomie podnosiła zalety dzieła i dzieł sztuki z punktu widzenia społeczno-obyczajowego, mniejszy kładąc nacisk na stronę artystyczną — lecz w tem, z uwagi na potrzeby społeczeństwa, nie było nic zdrożnego. Gorsza rzecz, iż spekulanci różnego rodzaju i pokroju to poczucie »obywatelskości jednostek«, ten charakter »kultury estetycznej« wyzyskiwali bezczelnie i dziś często wyzyskują w swoich celach osobistych i materjalnych. Prawda zatem, iż miarką sądzenia dzieł sztuki była często i jest dziś czasem jeszcze idea, odpowiadająca potrzebom społeczno-obyczajowym, i to nie jest dobrze. Jaką jednak miarę proponuje p. Jan Zakrzewski?

»Przedewszystkiem — powiada twórca przyszłej kultury estetycznej — postarajmy się odczuć autora i zrozumieć ideę jego dzieła«. Jakto! Ależ odkąd historja literatury zapisuje nazwiska badaczy i krytyków, każda ocena polegała na zrozumieniu idei dzieła i odczuciu autora i taką krytykę już mamy. Bah! Bo też to nie koniec. Pan Jan Zakrzewski »w ocenie zjawisk« — szkoły krakowskiej — domaga się bezstronności i dobrej woli«, w tym celu »zabrania krytykom brać autora na egzamin z cnoty obywatelskości«. To jest owa miara, przyszła miara umysłu szerokiego.

Nie wiem, co p. Zakrzewski rozumie przez wyraz »Cnota«, a co przez wyraz »Obywatelskość«, i po bliższe objaśnienia do »Tygodnika Ilustrowanego« nie pójdę. To wiem jednak, iż od czasu, jak prasa rejestruje objawy naszego życia artystycznego, umysłowego, społecznego i obyczajowego, wyraz obywatelskość nie był jeszcze wzięty w cudzysłów i nie był jeszcze przeciwnikom kierunku artystyczno-literackiego, czy filozoficznego, rzucony w twarz jako obelga. Być może, iż »nowy kierunek, czerpiący źródło sił z indywidualizmu jednostki lub grupy jednostek, przeciwstawiający pojęcia i ideały nowe dawnym«, wyruguje z czasem, przy zmianie ustroju społecznego, ideał artystyczno-literacki, bądź czerpany ze źródła, bądź skąpany w źródle obywatelskości. Dopóki jednak ta zmiana nie nastąpi, a nie nastąpi wrychle, gdyż społeczeństwa, posiadające kulturę odwieczną, nie łatwo ulegają rozkładowi, wara wam, panowie indywidualiści, czy dekadenci, od symbolów w cudzysłowach! Wyraz obywatelskość to symbol idei jeszcze żywej, nie abstrakcyjnej, i nie wycierajcie sobie nim zębów na pośmiewisko podlotków histerycznych i gołowąsów, dotkniętych obłędem. Dla was indywidualistów, jest to igraszką, nam, uspołecznionym, idzie o życie! *Antoni Sygietyński.*

MOMENT.

5)

NOWELA

ELIZY ORZESZKOWEJ.

(Dokończenie).

Na ziemi, na niskim jej padole, Ruchla, która, biegając po izbie, prowadziła z mężem zawziętą kłótnię, stanęła i zaszeptała:

— Co to jest?

A Mendel Szapir, który w czapce przekrzywionej na głowie gotował się do przeskoczenia progu izby, stanął także i powtórzył.

— Co to jest?

Chwilę słuchali; potem Ruchla cicho przemówiła:

— Pójdźmy na ganek, Mendlu; stamtąd lepiej słychać!

O dziwy! Ruchla cicho i łagodnie przemówiła! Wyszli na ganek. Kiedy przechodzili sień prawie ciemną, u zamkniętych drzwi śpiewaczki coś zaszeleściało i do ziemi przypadło; była to Gitla, ale oni jej nie spostrzegli. Wyszli na ganek i stojąc słuchali.

Mendel zakołysał głową.

— To ona tak śpiewa!

— Pięknie śpiewa! — zaszeptała Ruchla, a potem dodała:

— Ot, szczęśliwa! Takie brylanty i takie śpiewanie mieć!

Jej grube ramiona pod brzydkim kaftanem zadrżały, w tłustej twarzy coś zadrgało; oczy podniosła w górę i zaszeptała:

— Widzisz, Mendlu, jaki piękny księżyc?

On już go sam zobaczył i, zawsze ruchliwy, teraz stał, jak skamieniały, słuchając śpiewu i patrząc w górę.

Wtedy także, w domostwie innem, poważny Chaim Cygler i żona jego, Małka, podnieśli głowy z nad wielkiej księgi rachunkowej, a że byli małżeństwem zgodnem, jednomyślnie wymówili:

— Ktoś bardzo pięknie śpiewa!

Chcieli rachować dalej, lecz coś im przeszkadzało, cyfry i myśl mąciło. Wstali i jednomyślnie na ganek domu wyszli.

Tam po chwili Małka rzekła:

— Ja wiem, kto to taki, rozpytałam się. To taka wielka śpiewaczka, co to jej ludzie za śpiewanie wielkie pieniądze płacą. Tak pięknie śpiewać i jeszcze za to wielkie pieniądze brać! Ot, szczęśliwa!

— A czemu ona tak smutnie śpiewa, kiedy szczęśliwa? — zapytał Chaim.

Małka westchnęła.

— Mnie to śpiewanie do samego serca idzie!

— A mnie się zdaje, że ono dostaje się do samego nieba. Czy ty widzisz, Małka, jak księżyc pięknie świeci?

Śpiew nagle umilkł; nikt ze słuchaczów nie wiedział, co, jak miecz nitkę, głos ten przecięło. Było to łkanie — płacz serdeczny, który twarz śpiewaczki nisko na obie dłonie pochylił. Kilka minut upłynęło, zanim ją podniosła znowu, całą oblaną strumieniem łez rzęsistych.

Lecz w łzach i tonach tajało może serce, zawzięcie dotąd ścinane ciężkim bólem, bo gdy śpiew rozległ się znowu, z głosu śpiewaczki zniknął tragizm ponury, a zastąpiła go szeroka pieśń liry, bogatej w giętkie struny i bezbrzeżnie smutnej. Z twarzą oblaną łzami, które posrebrzał księżyc, artystka sławna i kobieta nieszczęśliwa śpiewała o swoim śnie najmilszym, który daleko na fali podstępnej odpłynął, o zamku zaczarowanym, który runął w gruzy, o mirażu, który na drodze życia ją zaszedł i pierzchnął, o swojem sercu, które długo kołysało się na nitce pajęczej, aż z niej spadło i teraz pieśnią bezbrzeżnie smutną skarżyło się, że była tylko pajęczą. Pieśń szeroka i tęskna, nie z popędliwych kaskad tonów, nie z rozpaczliwych krzyków, jak przedtem, lecz z długich frazesów muzycznych, z nieskończonych trelów słowiczych, z zapytań, bijących w niebo i z westchnień, w przestworza słanych złożona, płynęła rzeką, w której odbijały się blaski raju i płomienie stróżujących u wrót jego skrzydeł archanielskich. Archanioł od wrót zamkniętych oddalał serce ludzkie, biedne i słabe, z którego jednak genjusz sztuki dobywał niezmierną siłę pieśni. Rzeką tęsknoty i żalu pieśń ta płynęła nad rynkiem miasteczka.

Rynek otoczył się teraz wieńcem światełek mglistych, czerwonawych, palących się za oknami domostw. W srebrzystej jasności księżyca wyglądały one, jak wieniec oczu mrugających, spłakanych, uważnych. Zdawały się uważnie słuchać pieśni i coraz więcej zaczerwieniać się od tych łez, których była pełną. Uważnie też słuchały postaci, coraz tłumniej napełniające ganki domów, ciemne i nieruchome w srebrnem świetle. Coś poruszyło się w mrowisku i z za szczelnie zamkniętych okien wypychało żyjące w niem istoty na jasną i świeżą przestrzeń. A dalej, u końca ustronnej uliczki, z jaskrawemi twarzami obróconemi na księżyc, proste i nieruchome, uważnie zdawały się słuchać pieśni malwy i georginje ogródka, w którym siedział człowiek, podobny do rzeźby z szarego kamienia. Ten nie zaraz usłyszał, lecz, gdy usłyszał, uważnie słuchać zaczął i po kilku minutach twarz z rysami, zaostrzonemi przez dłuto nieszczęścia, rękawem odzieży zakrywszy, na sposób prostaczy, głośnym płaczem ryknął. Po raz pierwszy zapłakał nad bladą głową syna, która spokojnie leżała na węzgłowiu trumny, w domku teraz cichym, i zarazem oczy jego, wznosząc się ku górze, spotkały wysoko nad dachami rozpostarte w srebrnej jasności ramiona krzyża. Patrzał na krzyż i słuchał pieśni; stojące w pobliżu, cieniem drzew okryte kobiety zaszeptały:

— Dzięki Bogu! zapłakał! nie zwarjuje!

Jedna zauważyła:

— To przez to śpiewanie! Takie śpiewanie, to królowanie; wszystko, co chce, dokazuje z ludźmi. Oto szczęśliwa ta, co niem władnie!

W ciasnej izdebce, na barłogu, goryczą zalane wargi paralityczki szeptały także:

— Szczęśliwa!

Znając nieco świat szeroki, wiedziała, kim były te istoty, władnące pieśnią, przechodzące drogę życia pod łukami tryumfalnemi, w burzach oklasków i ulewach kwiatów. Pewno młoda, skoro ma w głosie taką świeżość i siłę, bogata, sławna... jakże szczęśliwa! Jednak czemuż tak smutnie śpiewa? Śpiew ten kołysze duszę zranioną, jak matka dziecię chore, i na tonach, jak w ramionach, podnosi ją coraz wyżej.

Oczy, oddawna palące się w gniewie i rozpaczy, podnosiła coraz wyżej, aż oddawna po raz pierwszy spotkała się niemi z przerzynającą srebrzyste powietrze linją krzyża.

Wtem śpiew znowu umilkł, raczej urwał się w połowie tonu. Srebrne powietrze zaległa wielka cisza. Cicho na gankach domostw stały ciemne postaci ludzkie i czerwonawe światełka, otaczające rynek, tylko mruganiem zdawały się wołać:

— Śpiewaj jeszcze! śpiewaj!

Śpiewaczka milczała. W połowie tonu podniosła wzrok ku górze i spostrzegła krzyż. Długo milczała, myślała; wzrok jej wzbijał się wyżej, coraz wyżej, nad szczyt krzyża, nad wieżę kościelną, aż ku najwyższemu punktowi przestworza, ku temu, na którym przed wzrokiem ludzkim zapada granica widzenia.

Tam, ku nieznanemu jądru świata i niepojętej przyczynie jego mąk i dążeń, ku tej najwyższej tablicy praw, na której długie sze-

regi wieków i pokoleń krwawemi zgłoskami i prastarą mową ryły słowa, jak niemoc pokorne: Fiat voluntas Tua, posłała na promieniach oczu zapłakanych całą swoją tak biedną, a przecież tak bogatą duszę.

Gdy zaczęła śpiewać znowu, w powietrzu srebrnem rozległa się prośba tak wspaniała i szeroka, że zdawała się ogarniać ziemię z całą powszechnością jej cierpienia i niebo z całym majestatem jego bezdennej głębi.

Wtedy uczuła, że sukni jej dotykają jakieś ręce i tuli się do niej jakaś głowa. Spojrzała w dół i zobaczyła niedużą postać, u stóp jej klęczącą. Była to Gitla, która cicho wsunęła się do pokoju i, jak lękliwe kocię przesunąwszy się pod ścianą, do kolan jej przypadła. Śpiewaczka po chwili patrzenia rękę opuściła na jej głowę; szmaragd pierścionka, jak zielony ognik, błysnął i biała ręka zajaśniała na kruczych włosach, a zarazem rozległo się w przestrzeni potężniejsze jeszcze, niż przedtem, wołanie z ziemi do nieba o ukojenie ran, o przebaczenie win, o światłość dla ciemności, o nadzieję dla rozpaczy, o ratunek dla ginących, o obronę dla tratowanych, o moc życia i śpiewania dla tych, których usta nużą się od słów, bolą od uśmiechów.

Na ganku domu Ruchla cicho mówiła:

— Już ja z tobą, Mendlu, chcę pogodzić się. Jak to można się kłócić, kiedy świat taki piękny i takie piękne śpiewanie na nim jest!

A Mendel, z twarzą całą w drganiach nerwowych na żonę patrząc, zdziwił się bardzo; bo oczy, któremi na niego patrzała, były znowu tak szafirowe, jak kiedy miała lat dwadzieścia.

Zaś poważny Chaim Cygler rzekł do żony:

— Małka! Możeby tej Obuchowskiej nie tydzień, ale jeszcze miesiąc na ten dług poczekać?

— Ty na niego, Chaimie, już dwa miesiące poczekaj — odpowiedziała Małka; a że byli małżeństwem zgodnem, więc jednomyślnie spojrzeli w górę i szepnęli:

— Pan Bóg jest wielki!

Śpiewaczce wydało się, że pod dłonią, opartą na włosach klęczącej dziewczyny, czuje bicie jej serca. Spojrzała w dół. Kto to jest? Co to za metamorfoza? Gitla, klęcząc ciągle, wyprostowała się, twarz na światło księżyca obróciła i z czarną kosą w splecionych u piersi rękach, z rajską słodyczą w ogromnych oczach, z uśmiechem zachwycenia, rozwierającym koralowe wargi, wyglądała jak zaczarowany w słodką postać dziewczęcia duch modlitwy i ekstazy. Od tej słuchaczki śpiewaczka wzrok oderwała i potoczyła nim dokoła. W księżycowem świetle ciemne, nieme, zasłuchane, stały na gankach domostw garstki postaci ludzkich, a pomiędzy plamami, które one rzucały na srebrzystą przestrzeń, światełka okien zdawały się naokół mrugać i prosić:

— Śpiewaj! śpiewaj!

Śpiewała. Wstąpiło w nią to uczucie panowania nad duszami, która mistrzów słowa i dźwięku z dolin nieszczęścia wzbija na szczyty przedtem niedostępne. W kobiecie nieszczęśliwej obudziła się artystka i uderzyła w nutę odwagi i wytrwania. Genjusz sztuki porwał jej serce zranione i przypiął mu skrzydła niezłomne, które roztoczywszy wzbiła się nad swoje łzy i bóle, w srebrnem przestworzu, nad ciemnem mrowiskiem lecąc wysoko i rozlewając z wysoka pieśń pociechy, odwagi i siły.

W uliczce, podobnej do czarnej czeluści, pociecha — gość rzadki — uśmiechem wykwitła na drobnej twarzy dziecka, które niedawno ciężki wór kartofli zrzuciło z pleców i teraz z plecami bolącemi, zziajane, bose, siedziało pod spróchniałym płotem z kromką czarnego chleba przy wybladłych ustach. Od kilku minut już nie jadło chleba, choć było głodne. Dziwiło się, nie wiedząc samo, czemu się dziwi. Tak jasno na świecie, ktościś tak głośno śpiewa, a wysoko nad dachami sąsiadów widać krzyż, błyszczący jak srebro. Malutki symbol ludzkości, który na chwilę zrzucił z bark swoje wielkie brzemię, przestał na chwilę także czuć, że plecy go bolały, chudem ramieniem wsparty o płot gnijący, z podniesioną twarzą, po której skórze bladej błądził promyk księżyca, uśmiechał się, patrząc w górę i—słuchając pieśni.

Artystka śpiewała...

LISTY
J. LELEWELA DO J. N. JANOWSKIEGO
z lat 1834—59.

4)

Paris, rue des beaux artes 3, 18. kwietnia 1854.

Szanowny Ziomku!

List Twój, datowany 4. kwietnia, otrzymałem wczoraj — od dni 18 palec średni prawej mej ręki narywa, cierpię ból nieznośny, nie mogę pióra trzymać, jak należy i dla tego bazgrzę, a nie piszę — jak się przekonywasz z tego listu. Cożkolwiek bądź, odpisuję Ci bez

straty czasu, jako dowód, że chętnie przypominam się Twej przyjaźni i spiesznie odpowiadam na Twoje zapytanie.

Pojmuję, że uczucia Twoje narodowe natchnęły Ci potrzebę korzystania z wypadków dzisiejszych i żeś przygotował nową pracę ojczystą. Że my ciągle myślimy i radzibyśmy jak najczęściej i najobficiej przemawiać za naszą wielką i nieśmiertelną sprawą, jest rzecz naturalna i obowiązkowa, ale obcy jakoś nie mogą przeniknąć się ważnością naszej sprawy i jak widzisz i czytasz, nie są i nie robią, co powinniby robić. Wprawdzie otrzymaliśmy ten skutek, że przecie widzą obcy, iż mieliśmy rację w sądach naszych o caryzmie i Moskwie. Gdyśmy od lat 30 mówili, pisali i drukowali prawdę, mówiono, że egzagierujemy, a nawet i kłamiemy, że w carach były: porządek, konserwacja, prawowitość, rządność i praktyczność, a my byliśmy burzyciele i goniliśmy za marą ojczystą! Otóż tem, co Anglicy i Francuzi piszą i drukują od roku przeciw Moskwie nietylko że potwierdzają cośmy drukowali, ale powiadają, że byliśmy nawet skromni! Jestto dobrze, ależ czas drogi upłynął i dzisiejsze przekleństwa obcych na naszych zaborcach niestare, z wielu względów są już po harapach.

Lubo my, Polacy, nie możemy dowierzać ani Brandenburgom, ani książętom rakuskim, gdy jednak zachód radby ich widzieć na swej stronie, a więc nie można powstawać na Berlin i Wiedeń w obec ostrzeżeń, jak to pojmujesz, tem bardziej, jeżeli pod Twojem polskiem imieniem myślisz drukować. Ani Paguerre ani inny nie zechcą wydrukować, chyba że swym kosztem to zrobisz, jeżeli zatem masz takiego, co Ci wydrukuje gratis, a może i zapłaci, gdy coś zarobi po przedaży, korzystaj.

Jeżeli chcesz mieć wyobrażenie, jak tu chcą, aby sądzić o sprawie, toczącej się, odczytaj dziełko „Guerre à la Russie!! Etat de l' Europe en 1854. Paris á la Librairie nouvelle 15 Boulevard des Italiens in 8. Autorem jest L. N. B. Myśl, styl i nadzieje są nader łatwe do odgadnienia, a co on myśli o Polsce, może Ci być skazówką, co dla nas przygotowywa się.

To, co widzę, słyszę i czytam względem nas i naszej nieszczęśliwej ojczyzny jest jeszcze pokryte grubemi chmurami i nie tak rychło nastąpi to, coby powinno nastąpić. Wiele, bardzo wiele Moskwa poniesie strat, ale jeżeli atakujący nie oprą swych działań na najżywotniejszej kwestji, na naszej, nic stanowczego i skutecznego nie otrzymają.

Jeżeli Ci się uda wydrukować Twoją pracę nie zapomnij o mnie i przyszlij mi choć jeden egzemplarz do moich zbiorów.

Radbym dłużej pisać, ale ręka mdleje. Serdeczne pozdrowienie przesyłam. Lelewel.

Monsieur Jean Nepom. Janowski 12 Rue des Remparts Bordeaux (Gironde).

7. kwietnia 1856.

Szanowny Ziomku!

To prawda: Od czasu widzenia się naszego dwa, czy trzy listy Wasze doszły mię, na które nie odpisałem. Ale na jeden z nich odpowiedziałem, wyprawując pozostawiony w przejeździe ładunek, wedle danego adresu. A nie zbyt dawno słyszałem, że został w Paryżu jakoby naleziony i niedawno dopiero Wam przesłany. Na inne nie odpisałem, zaniedbałem, zapomniałem, bo w nich było tylko: jak się masz?

Błogiej pamięci wódz Ostrowski w zapędach korespondencji swojej nie zawsze odpisu wymagał. Tak naprzykład, gdym był w Tours, a on rezydował w Fonteinebleau, to mi pisał: 1) Z Fontainebleau: Zamyślam w tych dniach udać się do Paryża, gdy ruszę, to zawiadomię. 2) Z Fontainebleau we dwa dni: Dziś udaję się do Paryża, skoro na miejscu stanę, zawiadomię. 3) Z Paryża nazajutrz: Dziś przybyłem na dni kilka etc. Archiwista Leonard Chodźko przechowuje oryginały epistoł, nie wiem czy również i niefrankowanych każdego czasu kopert.

Teraz wszystko taniej, ale wybacz, łaskawco, jeślim do korespondencji nie skory. Chwalisz się, że masz lat 50, a ja takowych mam 70 w siedemdziesiątym pierwszym; mam zatrudnienia, ja wypoczynku nie mam, abym resztę dni spędził, a wzrok tracę, a...

W tych czasach, gdy stawiają monumenta narodowe i dzieciom Mickiewicza fortunę, właśnie Lubliner i ja otrzymaliśmy wezwanie i nominacje na kolektorów. Nie mogliśmy się podjąć tego: nie przystoi nam honorowy tytuł kolektorów bez kolekty, wreszcie położenie każdego z nas czyniło niepodobieństwem podejmowanie tego rodzaju zabiegów. Nie licz tedy na nas z subskrypcjami i prenumeratami, bo byśmy nie zrobili nic, ja z powodu położenia naszego podjąć się zbierania subskryptów nie mogę, a tem mniej Lubliner. Zresztą w Bruxeli i z Bruxeli nic nie będzie. Wielu stąd poszło w Kozaki, z pozostałych biedaki są, nie do wypowiedzenia biedaki, po pięcioro i ośmioro dzieci mający, o gramatyce myśleć nie mogą. Dostatniejszych mniej mnoga dziatwa bez gramatyki umie po polsku. Z przyjezdnych lub czasowie bawiących nikt nie zasubskrybuje, nie widujemy ich. Jest tu jeden między nami Emil Wyhowski, któryby się chętnie komisu podjął, rojąc sobie, że coś dokaże — a ja mniemam, że zawiedzie się — ale on jest jednym z ojców pięciorga i zapyta, czy mu komis co przyniesie. A gdy niema nadziei, aby rzeczywiście co zrobił, trzeba, aby komis otrzymał bez kosztu. Pewnie będą prospekta. Dobrze, aby takowe z Paryża dostawiła jaka okazja bez kosztu. Nie subskrypcję, ale gotowe dzieła udaje się czasem Wyhowskiemu placować, a z tego coś mu się skrawa. Ale to szczęście rzadkie. Nie-

dawno jeden mój przyjaciel, Francuz z Beziers chciał mię obligować komisem subskrypcji; odmówiłem, stręcząc księgarzy niektórych i kilku tutejszych sawantów obrotniejszych, którym jego dziełem zająć się przystało. Na dziełko polskie tutejsi księgarze o Panie, zmiłuj się!

Gramatyka Wasza bodaj mustarde aprés diner. Dla wyrostków dwudziestoletnich! Wreszcie co się z mową polską po Francji w płodzie polskim dzieje, nie mam wyobrażenia żadnego. W tych dniach ukazano mi w roku 1848 wydrukowaną Bronikowskiego polskę dla owego płodu gramatykę. Lat tedy ośm upłynęło i o bycie tej gramatyki nie wiedziałem. Wystudjowana z mnogą obserwacją.

Z wielkiej chmury duży deszcz, bo się mnogo krwi przelało, a powódź zalała krajów wiele. Była to ubijatyka dla skonsolidowania panowania Rosji nad zdobyczami, jakie posiada. Przeczucie Wasze bodaj się nie sprawdziło w części. Listów Konopskiego nie mamy.

Kończę 9. kwietnia.

Adres Emila Wyhowskiego jest à Bruxelles rue Royale 75, ale do niego frankować wypada, bo ma dosyć dzieci.

Chcesz odemnie jakiegoś dłuższego pisania. Podupadające me zdolności mierzę zwykle cudzemi. Owóż gdy wyczytuję w miłych wyrazach listu Waszego, że Wam czasu i cierpliwości brakuje, toż i sobie powiedzieć muszę. A raporta zdawać czyli prospekta listownie mych zatrudnień rozpisywać, prawdziwie byłoby uciążliwe, i cierpliwości braknie.

Powiedziałem: pracować trzeba, aby przewlokły żywot dokonać. Zabierając się tedy do odczytania srodze żmudnej korekty wzajemnemu mię sercu polecam, życząc szczerze sukcesu z gramatyką, lepszego indziej, niż może być w Bruxeli.

Pozdrowienie i uścisk
Lelewel.

(Dokończenie nastąpi).

Szkice z nad Niewiaży.

10)

Majętności nadane wydzierżawiano ludności miejscowej i żydom; gdy to zostało zakazanem, wówczas obchodzono prawo, podstawiając osobę trzecią pochodzenia rosyjskiego. Osoby, zmuszone do wyprzedaży swych majątków w ciągu 3 lat, sprzedawały je niekiedy fikcyjnie, bo kilku Polakom w drodze łaski pozwolono w Petersburgu nabywać nieruchomości w Litwie; do nich n. p. należeli hr. Tyszkiewicz z Landwarowa, hr. Czapski oraz inni; niekiedy z konieczności sprzedawano za bezcen, ale kupcami byli u nas Niemcy z Kurlandji lub Łotysze. W ten sposób żywioł niemiecki wśród właścicieli ziemskich wzrósł liczebnie i okrzepł. Potem powykupywano dużo majątków od Rosjan w drodze pożyczki pod zastaw, ale gdy zapadła uchwała, znosząca prawo brania w zastaw wszelkich nieruchomości po za obrębem miast i miasteczek, a posiadająca siłę wsteczną, to wypadło w ciągu 10 lat ulgowych załatwić wszystkie te sprawy; jakoż załatwiono je rzeczywiście i bodaj znacznie większą połowę dóbr rozparcelowano i sprzedano włościanom. W ten sposób w niektórych powiatach, n. p. poniewiezkim obszar własności ziemskiej rosyjskiej zmniejszył się. Rozumie się, celem owego zakazu było poparcie rozwoju własności ziemskiej rosyjskiej, a uniemożliwienie rozwoju polskiej; prawie jednocześnie też ogłoszono uchwałę, która pośrednio mogła przyczynić się do utrudnienia stanowiska własności ziemskiej polskiej: mianowicie zniesiono dla właścicieli ziemskich Polaków prawo dożywocia. Te dwie uchwały — to inicjatywa wielkorządcy wileńskiego, Kochanowa.

Niema co mówić, że i przedtem ułatwiano wszelkimi możliwymi środkami rozpowszechnienie własności ziemskiej rosyjskiej: już w r. 1867 uchwalono 5 miljonów rubli*) na pożyczki wydawane Rosjanom, pragnącym nabyć z rąk polskich dobra ziemskie; ogromnie obniżono opłaty stemplowe, ułatwiono do granic ostatecznych formalności prawne, słowem, zrobiono wszystko, co można było, ale nie koniec na tem: z inicjatywy prasy polakożerczej do ustawy Banku szlacheckiego zrobiono dodatek, wzbraniający korzystania z kredytu ulgowego właścicielom ziemskim Polakom. Bank zaś szlachecki udziela kredytu hypotecznego na warunkach o wiele lżejszych, niż inne banki ziemskie, albowiem celem jego jest podtrzymanie własności ziemskiej szlacheckiej. Bodaj z inicjatywy wielkorządcy wileńskiego, niecnej pamięci generała Orżewskiego, przeprowadzono uchwałę, na mocy której szlachta rosyjska uzyskała prawo otrzymywania pożyczek do wysokości 75% wartości na kupno dóbr ziemskich z rąk polskich. W drodze admi-

*) Z tych 5 milionów $3^1/_2$ ukradł i przegrał na giełdzie Juchancew, urzędnik ministerstwa skarbu.

nistracyjnej, wielkorządca wileński Orżewskij postarał się ograniczyć do granic ostatecznych prawo nabywania ziemi; w drodze rozporządzenia administracyjnego zakazano wydawać te pozwolenia Rosjanom, żonatym z Polkami, lub posługującymi się w stosunkach domowych językiem polskim, szlachcie kurlandzkiej, wszystkim starowiercom i odszczepieńcom od Kościoła prawosławnego, oraz karaitom; włościanom dozwolono kupować nie więcej, jak 3 włóki, t. j. około 64 hektarów, i to tylko tym, którzy nie mówią w domu po polsku, nie mają krewnych księży katolickich lub kalwińskich, i wogóle osób, posiadających wyższe, niż elementarne wykształcenie; nie wolno włościanom, którzy wyszli ze sfery stosunków włościańskich, t. j. otarli się o szkołę średnią, nabywać ziemi. Wogóle pozwolenie to zależy zawsze od prawomyślności politycznej danej jednostki; określenie to zależy od komisarza policyjnego. Dodam tu: prawa wyjątkowe z r. 1865 mówią tylko o zakazie nabywania ziemi przez szlachtę polską, ale wnet zakaz ów rozciągnięto i na mieszczan katolików i kalwinów. Uprzednio wydawano świadectwo ogólne na prawo nabywania ziemi; od czasów Orżewskiego zaś na poszczególny folwark lub kawałek ziemi. Nawet od wielu Rosjan odebrano to pozwolenie; stracił je nawet, jak wiadomo, stary kupiec wileński, Muchin, bo od lat 50 mieszka w Wilnie; odebrano je nawet od szlachcica, właściciela ziemskiego, a jednocześnie duchownego prawosławnego (dziekana nawet!), bo uważa się za Polaka i posługuje się językiem polskim. Wogóle te rozporządzenia dotąd przestrzegane pilnie, utrudniły ogromnie stanowisko właścicieli ziemskich polskich, przeszkadzając parcelacji gruntów. Jednocześnie też wydano cały szereg administracyjnych rozporządzeń i zakazów dla właścicieli Rosjan, nabywców majątków polskich, n. p. zakaz utrzymywania rządców Polaków i t. d. Te rozporządzenia administracyjne, oraz ciężkie warunki życia na wsi wśród otoczenia jawnie nieprzyjaźnego, doprowadziły do tego, że rzadko, bardzo nawet rzadko, Rosjanie nabywają dobra ziemskie, chociaż można je nabyć z niewielką nadpłatą nad szacunek banków ziemskich na licytacjach.

Pomimo tak ciężkich i smutnych warunków, pomimo wszelkich usiłowań rządu, nieustających aż dotąd, nie stworzono jeszcze własności ziemskiej rosyjskiej, słowem, niema dotąd u nas jeszcze klasy właścicieli ziemskich Rosjan. Od chwili zaprowadzenia praw wyjątkowych aż do 13. (1.) stycznia 1889 r. własność polska szlachecka utraciła w gubernji kowieńskiej 60.683 diesiatyn; gdy w gub. wileńskiej 1,026.467 dies., w grodzieńskiej 1,349.064 dies.; wszakże zdaje się, że w te dwie ostatnie liczby włączono grunty, nadano włościanom, ale fakt pozostaje faktem, że własność ziemska polska, szlachecka, najlepiej dotąd utrzymała się w gub. kowieńskiej. Przed paru laty obszar jej obliczyłem na 75% ogółu własności ziemskiej prywatnej, wkluczając w tę liczbę ziemie, należące do właścicieli ziemskich uprzywilejowanych, t. j. nieopłacających wówczas kontrybucji, ale uznających się za Polaków, n. p. rodziny baronów Brunnowów, Holstejnów i t. d. W roku zeszłym to moje przypuszczenie potwierdziło się najzupełniej: z powodu pogłosek o zaprowadzeniu ziemstwa, »Kraj« zasięgnął informacji z bardzo dokładnych źródeł i okazało się, że własność polska, szlachecka, opłacająca do roku zeszłego t. zw. kontrybucję, wynosiła w gub. kowieńskiej 72·8% ogółu własności prywatnej, zatem w tę liczbę nie były wkluczone grunty, należące do kilkunastu rodzin już polskich, ale dotąd prawnie uznawanych za niepolskie. Wogóle własność ziemska niepolska stanowi około 25% ogółu własności ziemskiej, prywatnej, ale jaki z niej procent należy do Rosjan prawdziwych, tego określić nie można; stosunkowo najwięcej ziemi posiadają Rosjanie w powiatach szawelskim (dobra Zubowów i Naryszkinów) i rosieńskim.

(D. c. n.) *J. Syrokomla.*

Z pism i książek.

Stara Praha. 100 akvarelů Vaclava Jansy. Popisuje Jan Herain. Pořada a vlastním nakladem vydává Bedřich Koči v Praze.

Wspaniały pomnik będzie miała królewska Praga w tem wydawnictwie, którego pierwszy zeszyt opuścił już prasę. Artystyczny pendzel Jansy odtworzy w niem wszystkie pamiątki, wszystkie zabytki stolicy Czech, z któremi się wiążą wspomnienia o dawnej sławie, dawnych bojach, zwycięstwach — ah, i upadkach, zawodach, żałobie! Powołane pióro Heraina dopowie w tekście historycznym dzieje kamiennych świadków przeszłości.

Pierwszy okazowy zeszyt zdobi jedna tylko akwarela, przedstawia ona kawałek ulicy na Hradczanach wraz z kościołem św. Jerzego. Fundatorem jego był w pierwszej ćwierci dziesiątego stulecia Wratysław, syn Borzywoja, pierwszego księcia chrześcijańskiego Czech, a ojciec św. Wacława. W kryptach najstarszej tej świątyni w Czechach znajdują się grobowce Wratysława i kilku innych książąt z rodu Przemyslowiców.

Omawiany zeszyt — całość wydawnictwa składać się będzie z 26 zeszytów z 4 akwarelami każdy — omawiany więc zeszyt mieści na czele hymn, wyśpiewany na cześć starożytnej Pragi przez A. Klaszterskiego. — Poeta ubolewa wprawdzie, że nie posiada ani głosu donośnych dzwonów, ani barw zorzy, płonącej nad Pragą, by mógł godnie głosić sławę stolicy i odtwarzać jej krasę, ubolewanie to wszakże jest bezzasadne: wielka miłość potężniejszy od dzwonów posiada głos, a zorzy blask gaśnie przed purpurą męczeńskiej krwi narodu. W pieśni zaś czeskiego poety jest i taka miłość i krew taka.... *M. W.*

Z „Drukarni Udziałowej“ we Lwowie, ul. Lindego 8.